

KATARZYNA KUCZYŃSKA-KOSCHANY 



<https://orcid.org/0000-0002-1671-2278>

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

katarzyna.kuczynska-koschany@amu.edu.pl

TŁUMACZKA, PRZYPIS, LOS. SARA – IRENA – ELŻBIETA¹ ELŻBIETY TABAKOWSKIEJ

Abstract

Translator, Annotation, fate. *Elżbieta Tabakowska's Sara – Irena – Elżbieta*

The piece is a discussion on roles of a translator and a reader, based on Elżbieta Tabakowska's book titled *Sara – Irena – Elżbieta* (2020). Irena Powell's book, *Córka, która sprzedała matkę. Wspomnienia rodzinne* (2020), polonized by Tabakowska, remains the main point of reference. The object of contemplation is the encounter of two identities: the translator and the author of the translated book.

Keywords: translator as a reader; Irena Powell; Elżbieta Tabakowska; the craft of translation; interpersonal relationships; auto-identification in comparison to parallel

Słowa kluczowe: tłumaczka jako czytelniczka; Irena Powell; Elżbieta Tabakowska; warsztat translatorski; relacje interpersonalne; autoidentyfikacja wobec porównania

Taka jest ta książka: jak styk ostatniego imienia w serii współrzędnych tytułowych i imienia autorki (tak też w tytule mojego omówienia). Zatem prywatna. To nie proste powtórzenie gestu tłumaczki z tomu *O przekładzie na przykładzie*, pewnego odsłonięcia warsztatu translatorskiego podanego

¹ Kiedy tworzy się skrót do tytułu tej książki, by ją swobodnie cytować, pojawia się zaimiek zwrotny, ale jakby zniekształcony (bez sygnału nosówki), czyli taki, jak gdyby wymawiał ktoś uczący się dopiero polskiego, mający kłopoty z poprawną artykulacją – to nie przypadek zapewne w owej narracji samozwrotnej. Elżbieta Tabakowska, *Sara, Irena, Elżbieta*, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2020. Dalej: S-I-E.

jako studium przypadku, także nie – częste przecież u tłumaczy – „tłumaczenie się z tłumaczenia”. Tu odsłania się więcej.

Tu odsłania się więcej, powtórzę. Siebie samą – i to, by tak rzec – synoptycznie. Iskra, los bohaterki spolszczonej książki – Ireny Powell, autorki (auto)biografii pt. *Córka, która sprzedała matkę*², uczonej, podobnie jak Elżbieta Muskat-Tabakowska, należącej do tzw. drugiego pokolenia po Zagładzie, generacji, dla której w Polsce przeżyciem granicznym był Marzec '68 – iskra, podobieństwa i odpodobnienia tamtej narracji, która ma stać się (dzięki tłumaczce) tą narracją, okazuje się zadrą, nagłym i gwałtownym uruchomieniem własnej pamięci, pamięci mimowolnej – własnego doświadczenia. Iskra i zadra.

Tabakowska mówi – za Olgą Tokarczuk – o czulej narratorce (tłumaczce), ale jako czytelniczka miałam wrażenie, że to określenia zbyt słabe. Czulość bywa zadaniem, a tu fala uczestnictwa w czymś losie splata się ściśle z lossem pośredniczki, przetacza się po uprzednio przyswojonych i wcielanych w życie koncepcjach przekładu, jest jak nawałnica. Dzieje się w tej książce, w tym wyznaniu poniekąd, coś takiego, jak w rozdziale *Język narracji*, który Tabakowska zamyka rozmową z siedmioletnim Christianem – ten ma rodziców polsko-angielskich, „mieszka w Anglii, chodzi do angielskiej szkoły i poza domem mówi po angielsku” (S-I-E: 184) – „W domu powinien mówić po polsku, ale nie chce”. Tłumaczka próbuje temu zaradzić, zachęca siedmiolatka do porozmawiania z mamą po polsku („Ona by się tak cieszyła!”). Wówczas chłopiec poważnie pyta – owo siedem lat jest tu istotne, od razu przypominają się *Siedmioletni poeci* Rimbauda:

– Elko, tylko pomyśl, czy ty chciałabyś rozmawiać w języku, w którym nie znałabyś WSZYSTKICH słów?” (S-I-E: 184)

Mam dziwne wrażenie, że cała narracja tłumaczki tej właśnie sytuacji dotyczy, i to dotyczy nagle, gwałtownie: przez bliźniacze, a jednocześnie różnicujące, podobieństwo losów tłumaczonej i tłumaczącej, tłumaczka doświadcza czegoś zupełnie nowego; los igrza z profesją, nagle ona, która ma pełnić funkcję pośredniczki między językami (i już niejednokrotnie to z sukcesami czyniła), nie zna wszystkich słów. Nie dlatego, że ich nie zna. Tylko dlatego, że się one stają w akcie tego konkretnego tłumaczenia czymś innym niż zazwyczaj. Los jak jej własny los (ale inny przecież!) tak gwałtownie je

² Zob. Irena Powell, *Córka, która sprzedała matkę. Wspomnienia rodzinne*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2020.

odpodobnia. Nagle tych wszystkich słów, które zawsze były, nie ma. Być może dlatego tłumaczka wraca do momentu, kiedy jeszcze nie tłumaczyła z angielskiego, ba – kiedy nie znała tego języka. Tłumaczka nie musi szukać szerokiego kontekstu, owego wszechświata dobrego autora przekładu – oto kontekst przychodzi do niej sam i ściska ją za gardło, odbiera oddech.

Być może dlatego stara się Tabakowska tę historię swojego szoku poznawczego, szoku i dysonansu – opowiedzieć po kolei, odsłaniać, niejako racjonalizować. Dość szybko – i jakby mimochodem wyznaje jednak, że ważniejsza niż „właściwa” bohaterka książki, samosprawczo ocalała z Zagłady Sara, „jest Irena w potrójnym *emploi*: autorki, narratorki, córki” (S-I-E: 10). Nagle akt przekładu wkręca się pomiędzy szprychy „faktów subiektywnych”, jak rąbek spódnicy podczas – dobrze już opanowanej sztuki – jazdy na rowerze. Ów rąbek osobniczej pamięci się haczy, dokonanie samego tłumaczenia staje się niełatwą rozmową z samą sobą, zaś sama spolszczana książka – „zewnątrznym wspornikiem pamięci” (S-I-E: 12).

Zaczyna się ten szczególnie akt uruchomienia pamięci mimowolnej od magdalenki, czyli od szpinaku. Różne bywają magdalenki, nie każda to babeczka zanurzana w naparze lipowym. Tę gettowo-zagładową, tę z czasów okupacyjnego głodu i ukrywania się, Michał Głowiński nazwał w jednej ze swych autoterapeutycznych książek „magdalenką z razowego chleba”³. Szpinak nie jest typową magdalenką, choć podobnie jak ona (jakakolwiek by była) wywołuje w pamięci pewne obrazy i ciągi asocjacyjne, działa jak katalizator – na tłumaczkę. Elżbieta Tabakowska pisze: „Dla Irenki wojna o szpinak była najwcześniejszym aktem ruchu oporu wobec Sary” (S-I-E: 15), i natychmiast uogólnia: „Żadne dziecko nie lubi szpinaku”⁴. Szpinak można polubić dopiero w wieku dojrzałym. Jeśli płynie z tego jakiś morał, to jest to morał beznadziejnie banalny. Ale przecież może chodzić o coś więcej. Szpinak to niezły surowiec na metaforę. Okazuje się np., że „**obie z Ireną** lubimy szpinak Innego, a nie lubimy szpinaku Swojego. Jeśli idzie o mnie, to wiem, jak się przyrządza szpinak we Włoszech, natomiast Irena przyrządza go tak jak się go podaje w Japonii (...)” (S-I-E: 15, podkreśl. KKK). Porozumienie w sprawie szpinaku, poczucie szczególnej wspólnoty („**obie z Ireną**”) spowodowało, że nietypowa magdalenka – wspomnienie

³ Michał Głowiński, *Magdalenka z razowego chleba*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, *passim*.

⁴ Jestem – autorka tego omówienia – żywym i żyjącym przykładem niegdysiejszego dziecka, które zawsze lubiło szpinak. Być może – wyjątkiem. Jako dorosła lubię go po prostu jeszcze bardziej.

dziecięcego odrzucenia potrawy, swego rodzaju magdalenka na wspak („Bo ten [szpinak], którym usiłowano karmić małą Elżbietkę, był ohydny: konsystencją i kolorem przypominał krwi placek, na który komuś niechcący rozsypało się posiekane jajko na twardo”; S-I-E: 14) – zbliżyło autorkę (i poniekąd bohaterkę „wspomnień rodzinnych”) oraz tłumaczkę. Uruchoimiło aktywność tej drugiej, gdyż stała się nie tylko pośredniczką, ale także emisariuszką (wyzwolona empatia pozwala lepiej – skądinąd – poznać samą siebie):

Więc czytam powoli, także dlatego, że w wielu zdarzeniach przywoływanych w książce Ireny odnajduję pozorne paralele między jej i moim życiorysem; te zderzające się w wyobraźni zdarzenia wydawały się niemal takie same, a jednak były diametralnie różne, bo rozgrywały się na zupełnie różnych scenach, w zupełnie innych dekoracjach, w zupełnie innych teatrach. Ale właśnie z tych paraleli rodziła się taka więź między autorem a tłumaczem, jaka na ogół bywa dla tłumacza niedościgłym marzeniem. Szpinak urastał powoli do rangi symbolu. Zaczęłam tłumaczyć.

(S-I-E: 16, podkreśl. KKK)

Akt translacji okazuje się aktem wyłaniania, wydobywania. Elżbieta wydobywa Irenę z transgeneracyjnej, dziedziczonej traumy, ale negocjacje na ten temat i jednej, i drugiej stronie coś ważnego uświadamiają:

Tymczasem Irena pisze: „Nie wiem, czy to feler, czy zaleta książki, ale wyrażnie, w Pani odczuciu, brakuje mnie tam w jakiś sposób. Pani pytania próbują mnie »wydobyć« i jeszcze wcale nie jestem pewna, jak się z tym czuję”.

No tak. Zaletą książki jest w moim przekonaniu właśnie to, że pierwszoosobowa postać Ireny nie wysuwa się na pierwszy plan. Tytuł – *Córka, która sprzedała matkę* – właśnie córce przyznaje sprawczą funkcję podmiotu, chociaż nie zawsze jest to „podmiot liryczny”. A ja rzeczywiście próbuję Irenę „wydobyć”, szukając w ten sposób motywów moich translatorskich wyborów.

(S-I-E: 19–20)

„Wydobywanie” okazuje się – w świadomości tłumaczki – podwójne: „jako dorosłą kobietę relacjonującą odległe wydarzenia z życia matki i córki i jako małą Irenkę – »dziecko Holocaustu«” (S-I-E: 21).

Rozważania tłumaczki biegną od tego momentu tropami wyobraźni Sary, odmienionej Zagładą, i jej zachowań wobec Ireny – zazwyczaj odnajdując analogie, niepełne, a jednak analogie, w dziecięcym doświadczeniu Elżbiety. Najczęściej wydaje się czytelniczce omawianej tu książki,

że to jakby dwa warianty, podstawowy, wyobraźalny (Elżbieta) i wariant-hiperbola, niewyobraźalny (Irena). Towarzyszy im nieodmiennie fraza: „**Czy ty to w ogóle możesz sobie wyobrazić?**” I tak incydent z jajkiem przegląda się w incydencie z kubkiem. Jest wojna; Sara zdobywa „w czasie jednej z ryzykownych wypraw do wsi” bezcenne wówczas jajko dla Irenki („pierwsze jajko w życiu Irenki, takie pyszne, takie pożywne!”), S-I-E: 25); Irenka nie chce jeść jajka, wypluwa je. „I Sara zaczęła bić swoje dziecko i – jak wspomina – prawie je zabiła” (S-I-E: 26). Wariantem łagodnym (choć także kończącym się jedynym w życiu laniem, jak wspomina Elżbieta) jest incydent z kubeczkiem, szczoteczką i pastą do zębów, zdobytymi z trudem przez tatę Elżbietki w pierwszym roku po wojnie. Dziewczynka stanowczo i wielokrotnie odmawia umycia ząbków. Gniew niezwykajny, który ogarnia mamę Irenki i Tatę Elżbietki nie są równie niewyobraźalne. Rodzice spodziewają się wdzięczności od dzieci za ich rodzicielski trud tak, jak gdyby synowie i córki ludzi żyjących w trudnych czasach mieli obowiązek wiedzieć, że żyją w trudnych czasach. Czasem jednak chodzi o życie, czasem – za ledwie – o niesubordynację.

Tabakowska zdaje sobie sprawę, że te kwestie nie są do końca porównywalne, lecz wie również, co i kiedy uruchamia odruchy jej empatii przekładowej. Można by rzec, iż nie do końca symetryczne historie są inne niż – symetria właśnie – wzajemnego zrozumienia twórczyń urodzonych jako późne dzieci Holokaustu (autorki *Córki, która sprzedała matkę* i jej tłumaczki). Ocalałych inaczej niż dorosłe osoby.

Czasem jednak to wyobraźnia i empatia odmawiają posłuszeństwa, jak – nie przymierzając – bardzo małe i nieposłuszne dziewczynki. Rzecz może dotyczyć zarówno osób, jak i miejsc. Czasem, miałam takie wrażenie, tłumaczka tworząca swe przypisy do dwu losów – Ireny i własnego – wymyka się regule porównania (tak dzieje się, gdy pisze o nieznanym córce Sary przedwojennym Tartakowie i nieznanym sobie samej niegdyśniejszym Sosnowcu); wtedy – nagle – pojawia się to, czego nie można nazwać inaczej niż wyznaniem granic wyobraźni – twórczej i przekładowej:

Ja moją „przedwojenną mamę” (i „przedwojennego tatę”) też mogę sobie tylko wyobrażać. Kilku zachowanych zdjęć, strzępów zapamiętanych opowieści nie da się skleić w żadną całość – ta śliczna dziewczyna z warkoczem i ten chudy młodzieniec z wąsikiem to dwoje miłych, ale obcych ludzi, do których – podobnie jak Irena – nie mam specjalnie osobistego lub emocjonalnego stosunku”. [...]) A jednocześnie jest inaczej: „kulturowy wymiar” Sosnowca jest mi przecież bliższy niż Irenie był Tartaków Sary; patrzę na niego z perspektywy moje-

go obecnego życia w innym mieście i wśród innych ludzi – ale przecież w tym samym kraju. [...] Irena przedwojennego Tartakowa nie widziała, nie widziałam go też ja. **Więc czy my w ogóle możemy to sobie wyobrazić?**

(S-I-E: 32–33, podkreśl. KKK)

Czasami symetria rozpada się zupełnie, choć – to znów arcyciekawe – doświadczenie, jak to pierwszego czytania, osvajania się z alfabetem i z książką, pozostaje porównywalne. Elżbietka ma doświadczenie lektury ponemieckiej, takiej z umlautami, a oglądany przez nią obrazek to autoportret Albrechta Dürera; Irenka zaś znajduje w domu książkę pt. *Bełzec*⁵ – i czyta z trudem (choć bez umlautów): „Strzelanie, bicie, ciężarówka do przewożenia bydła, brak jedzenia i wody, nagie ciała, ogolone głowy, niemieckie słowa...” (S-I-E: 38). Wektory tego granicznego doświadczenia biegną w dwie przeciwne strony. Szok Irenki, litery i obrazki w książce o Bełczu, był obrysowywany czerwoną kredką (uciekąca „od nie do końca pojętego koszmaru do zrozumiałej rzeczywistości”, S-I-E: 39), reprodukcje malowideł Dürera wiodły Elżbietkę „od codzienności do fascynującej niezwykłości” (S-I-E: 39). Jak różne były to przeżycia, świadczą powroty do nich po długim czasie: „Po latach dorosła Elżbieta z radością konfrontowała dziecięce fascynacje z oglądanymi na wystawie dziełami Dürera i ze wzruszeniem zestawiała niemieckie podpisy pod jego obrazami z dziecięcymi próbami zmierzenia się z nieznanym językiem. Kiedy po latach dorosła Irena odnalazła w papierach rodziców starą broszurę ze śladami czerwonej kredki, przeżywana w dzieciństwie trauma nie pozwoliła jej czytać...” (S-I-E: 39). Jedna trafiła na baśń Andersena, która zawsze skłania do renarracji, druga – na baśń Grimmów – wcielone ze zwielokrotnionym okrucieństwem w życie (a właściwie – w śmierć).

Obydwie dziewczynki głęboko przeżyły nagłe doznanie własnej inności – znajomość słów ‘Żyd’, ‘Żydówka’ nie miała najpierw desygnatu, była semantycznie pusta, gdyż rodzice chronili córki raczej przed anemią (łykanie tabletek z żelazem, sanatoria), a nie przed autoidentyfikacją. Gwałtownie

⁵ Prawdopodobnie: Rudolf Reder, *Bełzec*, Centralna Żydowska Komisja Historyczna przy Centralnym Komitecie Żydów Polskich, Kraków 1946.; por. S-I-E: 173. Co ciekawe, gdy Elżbieta Muskat-Tabakowska postanawia jechać do Bełcza, pojawia się w Polsce Chaim Muskat, ocalały z Szoa, które pragnie porozmawiać z osobą noszącą to samo nazwisko. Tłumaczka komentuje to zdarzenie tak: „Zbieżność podróży do Bełcza z objawieniem się Chaima trudno uznać za przypadek, choć skłania się ku temu racjonalny umysł. To metafizyka” (S-I-E: 174).

i dotkliwie okazywało się potem, iż to one same – te chronione przez troskliwych rodziców przed anemią dziewczynki – są desygnatami rzeczownika ‘Żydówka’, okazywało się to w sanatorium (ktoś się nie modli jak inne kuracjuszki) albo w szkole (ktoś nie chodzi na lekcje religii).

Dalsze zbieżności: Irenka miała Bonnie, bokserkę, która zginęła pod kołami samochodu (ale rodzice przez długi czas utrzymywali córkę w przekonaniu, że suka tylko „zaginęła” i że może się odnajdzie); Elżbietka przyniosła do domu Lady (na szaliku w tornistrze), ale psicę dziewczynce odebrano („zniknęła”). Można by tu mówić wielokrotnie o chybionej trosce: picie soku z marchwi – tak, sanatorium – tak, samowiedza i ukochane zwierzę w domu – nie. Oczywiście, obydwie córki rodziców nadopiekuńczych i zasadniczych jednocześnie wiedziały – po latach – że nie było w tych decyzjach grama złej woli. (Było jednak – dzieciństwo bez kołysanek. Było też – na szczęście – samodzielne odnajdywanie baśni i opowieści w domowej bibliotece).

Był po prostu – Tabakowska tłumaczka z angielskiego używa idiomu z tego właśnie języka – „wielki słoń w salonie”, czyli „jakiś duży problem, który istnieje, ale o którym wygodniej jest nie mówić” (S-I-E: 57). Jak wtedy, gdy ciocia Nina – sprowokowana antysemitkami (acz wypowiedzanymi w salonie...) przemowami krakowskiej profesor – oświadcza, że nie ma „w sobie ani kropli aryjskiej krwi...” (S-I-E: 59).

Bywa, że tłumaczka pisze o sobie naprawdę bezlitośnie (i wtedy – o sobie samej jako tamtej innej – pisze w trzeciej osobie), tak jakby od razu założyła, że nie własną rzeczniczką jest w tej osobliwej książce. Tak toczy się narracja o roku 1956, Odwilży i pierwszych zagranicznych podróżach (dla Ireny była to wyprawa szczególna, bo do Izraela). Tabakowska konstatuje: „Wydaje się, że z nich dwóch Irenka była bardziej świadoma spraw otaczającego ją świata. Natomiast jeśli chodzi o Elżbietkę, to nie rozumiała nic” (S-I-E: 74).

W tym samym czasie autorka i tłumaczka wkraczają w dorosłe życie: Irena zdaje maturę wiosną w 1958 roku w Warszawie (i wybiera jako studia chemię, którą potem porzuca dla filologii), Elżbieta – wiosną 1959 w Sosnowcu (i od razu wybiera filologię). Tak „rodzą się” przyszłe anglistka i japonistka. Irena jest już jednak w Polsce sama – bez Sary, która jesienią 1957 wyjechała do Izraela. (I – ponieważ pojawia się coraz większa asymetria losów, Elżbieta, pisząca swoją książkę jako wielki, tożsamościowy i empatyczny przypis do przekładu, coraz bardziej musi „zadawać” sobie rozumienie – nie ma już bowiem prostych analogii).

Rok 1962. Sara nie jest szczęśliwa w Izraelu – przeżywa, jak to określa po latach tłumaczka książki jej córki, „kryzys tożsamości: dylemat Żydówki, która była Polką” (S-I-E: 86), tęskni „za drzewami, za zielenią, za deszczem” (S-I-E: 83). (Elżbieta doznaje zagranicy bliższej i – jako Zachodu – kolorowej, nie-szarej, dla Ireny to bardziej skomplikowane).

W roku 1967 okazuje się, że losy przyszłych twórczyń znów się do siebie zbliżają: Irena wyjeżdża do Oksfordu 19 września, a Elżbieta – 10 października trafia do Edynburga. Obydwie doświadczają dojmującej obcości na Wyspach Brytyjskich, malejącej powoli wraz z nauką języka u jego źródeł, obydwie też nie doświadczają bezpośrednio i w czasie rzeczywistym największej traumy drugiego pokolenia w Polsce, czyli Marca '68. Marzec '68 oznacza rozbitcie rodzin polskich Żydów⁶: Sara wraca z Izraela do Polski, ale nie chce, by wróciła do niej córka z Anglii w roku 1968 (matka Ireny na zawsze opuszcza kraj Dworca Gdańskiego i Treblinki w końcu 1969; nigdy nie wraca już do Polski; ojciec Ireny emigruje do USA). Elżbieta jest zakochana, wraca do Polski z osobą sobie najbliższą, silnie przeżywa Praską Wiosnę, a potem – w 1969 – samobójstwo Jana Palacha.

Tłumaczka książki Ireny widzi różnicę między ich losami bardzo jasno: u Sary i Ireny to podwójna trauma (Zagłady, przeżyta i odziedziczona, a potem – przynajmniej częściowo – Marca) oraz tożsamość; zaś dla Elżbiety raczej „swoista zмова milczenia w domu i w szkole” (S-I-E: 105), wykluczająca rozmowę o tożsamości i jej wczesne samouświadomienie, a także całą komplikację relacji polsko-żydowskich (z okrutną wojenną, zagładową cezurą).

Tu losy są rozstajne. Elżbieta wraca do Polski, tutaj zakłada rodzinę, Irena sprowadza Sarę do Anglii i tam tworzy miejsce na nowe życie – także swojej przyszłej rodziny. Losy się oddalają, nieco inaczej komplikują. Nie będę o tym pisać (choć pewien rodzaj „szantazu emocjonalnego”, stosowany przez rodziców dorosłych dzieci, które już mają swoje dzieci – pozostaje podobny). Wydaje się, że jednak na możliwości jedyne w swoim rodzaju porozumienia autorki i tłumaczki zaważyło powojenne dzieciństwo w Polsce i granica roku 1968 – nieprzeżytego w kraju.

Tabakowska wie – pisze o tym wprost – że co podobne w Ireny i jej losach, nie jest jednak wprost proporcjonalne:

⁶ Tabakowska pisze: „Narastał dystans emocjonalny, w zmienionym kontekście znikła dawna bliskość” (S-I-E: 101).

Poświęcenie mojego Taty było wyrzeczeniem się odpoczynku, paru godzin wolnego czasu. Było kwestią wyboru. I nie można go porównywać z poświęceniem Sary. Bo poświęcenie Sary było jak całopalna ofiara, bezustannie składana Irenie z realnych szans samotnej młodej kobiety na przeżycie. Skala tych dwóch poświęceń jest absolutnie nieporównywalna, i dlatego oburzają mnie wszelkie porównania.

(S-I-E: 136)

Używam słowa „emisariuszka” – kimś takim także jest dla Ireny – Elżbieta, przekraczając znacznie zadania tłumaczki (być może Tabakowska wyobraziła sobie, o ile więcej osób w Polsce przeczyta książkę Powell, kiedy empatyczna pośredniczka między językami przemyci niektóre epizody w swoim teście)⁷. Tak dzieje się w częstce zatytułowanej *Dembica vel Dębica*. Tłumaczka relacjonuje:

Wiosną 1943 roku Sara z małą Irenką wyruszyła w długą podróż z Jaszczowa do getta w Bochni, gdzie miał na nią czekać mąż. Jechała pociągiem; za Rzeszowem pociąg stanął i niemieccy żołnierze kazali Sarze wysiąść. Taki był początek całodziennej gehenny przez długie godziny Niemcy trzymali ją na dworcu. Po paru godzinach Sara zorientowała się, że szukają Żydówki z dzieckiem; była pewna, że ktoś z sąsiadów złożył na nią donos. Miała wprowadzić „aryjskie papiery”, ale żołnierze zawołali jakąś Niemkę, która przyjrzała się Sarze i Irence, po czym oświadczyła kategorycznie, że młoda matka jest z pewnością Żydówką. To był wyrok śmierci, ale żołnierze przyprowadzili jeszcze starego Żyda z dębickiego getta. To był konfident, który namawiał Sarę do przyznania się do żydostwa w zamian za obietnicę przeżycia w miejscowym getcie. Wtedy Sara odwróciła się do niego plecami i powiedziała z największą pogardą, na jaką ją było stać:

– Ja nie rozmawiam z żydowskim parchem.

I Niemcy pozwalają jej odejść! (...)

(S-I-E: 137, podkreśl. KKK)

W tym miejscu trzeba dokonać innego przekładu, przekładu z antysemitycznej polszczyzny na polszczyznę – *tout court*. Kim jest parch? I skąd quasi-magiczne działanie tego słowa, słowa, które uratowało Sarę oraz Irenkę od niechybnej śmierci?

⁷ Książka Tabakowskiej ma nieco ponad 200 stron, książka Powell – ponad 750.

W książce *Tuwim. Pęknięcie* pisałam:

Nie wiem, kim był ów, który na egzemplarzu korespondencji Staffa i Tuwima z lat 1911–1953, zatytułowanej *Z tysiącem serdeczności...*, znajdującej się w zbiorach poznańskiej Biblioteki Raczyńskich (sygn. 821. 162.1 – 6, 28 F 0023151), na 32 stronie – napisał na marginesie: „Tuwim parch i łajdak”. Napisał ołówkiem, lekką drżącą ręką, z francuskim „r”. Pogardliwe, antysemitkie (z jednoznaczną oceną etyczną) marginalium towarzyszy listowi Tuwima do Staffa z 9 stycznia 1946 roku (z Nowego Jorku)⁸.

W zacytowanym liście Tuwim odżegnuje się od generałów Bora i Andersa. Przypomina, jak zerwali z nim kontakty na tle politycznych różnic – najbliżsi przyjaciele, skamandryci, Lechoń i Wierzyński. Ktoś, kto mówi „parch”, mówi to zawsze z pogardą, mówi o kimś, kogo uważa za niższego i za obcego – jednocześnie (S-I-E: 185; za Głowińskim); okupantom niemieckim nie mieściło się w głowie, że to może być ratująca swe życie Żydówka, a nie zajadła antysemitka. Sara użyła antysemitkiej kliszy, słowa z repertuaru mowy nienawiści – jak tarczy i jako tarczy: „Obrażliwe słowa Sary wykrzywane na dworcu w Dębicy nie wywołały aktu agresji, lecz przełożyły się na akt łaski ze strony zbrodniarza: oprawcy darowali życie młodej matce i jej małemu dziecku” – konkluduje Tabakowska (i tu moja niezgoda na tę interpretację – nikt nikomu niczego nie darował, oprawcy nie mogli sobie najzwyczajniej wyobrazić, żeby Żydówka wypowiedziała tak nienawistne słowa).

Ta sama osoba, która potrafi wybronić dziecko i siebie samą od śmierci w sytuacji granicznego zagrożenia, staje się potem klasyczną *jiddysze mame*, czyli hiperbolą nadopiekuńczości. Dzieciom ocalałym i ocalonym z Szoa ich rodzice nie pozwalają być sobą – miałyby bowiem te dzieci symbolizować zwycięstwo nad Zagładą i jej sprawcami. Ba, szantaż moralny, ma dłuższy – międzygeneracyjny – żywot. Dziedziczy się nie tylko traumę – wiedzą to obydwie córki, Irena i Elżbieta, lecz także cały pakiet zachowań lękowych i osobliwych. Blizny po traumie (także niewłasnej) istnieją długo, już nie jako otwarte rany, a jako dojmujące ślady – jako rodzaj piętna. Stąd podróże, stypendia, dłuższe pobyty poza domem są dla dzieci takich szczególnych rodziców – prawdziwym wytchnieniem. Tam – w świecie – dziewczyny, potem młode kobiety mogą się wreszcie, powoli i konsekwentnie, stawać sobą.

⁸ Katarzyna Kuczyńska-Koschany, *Tuwim. Pęknięcie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021, s. 255.

Czy są passusy nieprzekonujące w tej książce? Być może taką kwestią jest analogia jako pewne założenie, ryzykowna – czasami – sama możliwość analogii (gdy przecież tłumaczka pisze, że pewne rzeczy w jej życiu i w życiu jej rodziny nie przystają, nie przylegają do doświadczeń granicznych Sary i Ireny). Także to, co nazywam najogólniej i dla samej siebie – anegdotą. Czasem opowieść, z założenia oparta na regule swobodnego, ale jednak porównania, zestawienia, wymyka się narratorki i biegnie w swoją stronę – zazwyczaj w tę bardziej znaną, znaną z autopsji. Wówczas pojawia się dysproporcja (przynajmniej w czytelniczym odbiorze). Tabakowska jest, a raczej bywa, świadoma tych manowców. W części *Pogranicza paraleli* konstatuje:

Dwa życia z pozoru bardzo do siebie podobne (kobieta-naukowiec, żona naukowca, matka dwóch synów opiekująca się starym rodzicem), a jednocześnie tak bardzo różne... Pewnie byśmy się nigdy nie spotkały, gdyby nie książka Ireny i pośrednictwo naszej wspólnej znajomej, która szukała dla niej polskiej tłumaczki. Zadziwiły mnie te wszystkie paralele-nieparalele.

(S-I-E: 171)

Piękne i poruszające są natomiast zapiski o języku narracji, o próbach pomieszczenia żywej polszczyzny z rozmów Ireny z Sarą w „ciasnym gorsecie angielszczyzny”, i idąca za tymi kłopotami rola Elżbiety, która wie, że nie mierzy się li tylko z „próbą przekładu”, lecz – przede wszystkim – z „próbą transferu ducha” (S-I-E: 177). W tle pojawia się zresztą jeszcze jeden język, tłumaczka nazywa go elementem najautentyczniejszej tożsamości Sary: to język galicyjskiego sztetla (S-I-E: 178). Tabakowska wie, że przekłada także emocje, których nośnikiem może stać się właśnie sam intuicyjny wybór języka (S-I-E: 178). Tu translatorska niemoc bywa frustrująca, gdy nie brakuje prawdziwego, właściwego ekwiwalentu, gdy (tłumaczka przywołuje na pomoc Leopardiego – poetę) – „słowniki wywabiają dziwność ze słów” (S-I-E: 183).

Kiedy tłumaczka chce oddać swą własną kondycję jako osoby nie tyle przenoszącej pewną opowieść z jednego języka do drugiego, co wyjaśniającej czyjś los, używa słów języka-źródła, czyli greki: *hypomnemata* i *em-pathēia*. Tabakowska pisze; „Cierpienie było w życiu Sary i Ireny obecne bardziej niż w moim. Wielkie, niewyobrażalne. Czy wobec tego ja w ogóle potrafię to sobie wyobrazić?” (S-I-E: 190). Kilka stron dalej zdaje się na tak postawione pytanie – także samej sobie – odpowiadać: „Niewiele mogę zrobić. Ale mogę udostępnić książkę Ireny tym, którzy nie mogliby jej poznać

w oryginale. Nieczęsto wynajęty do pracy rzemieślnik-tłumacz dostaje takie ważne zlecenie” (S-I-E: 202),

Jaka jest ta książka? Dla tłumaczki to prawdopodobnie akt samorozpoznania (*autoanagnorismos*, by pozostać przy fundamencie greki), zyskany dzięki przekładowi. Dzieje się tutaj zatem zupełnie coś innego niż w takich tekstach jak *O przekładzie na przykładzie czy Tłumacząc się z tłumaczenia*⁹. W tamtych książkach mówi ona – tłumaczka, w tej – mówi ja współczulne, ja do żywego dotknięte spolszczoną opowieścią. To ciekawe, a chwilami bardzo poruszające – towarzyszyć lekturowo kognitywistce, która poznaje nie tylko nową książkę, lecz także – lepiej – samą siebie.

⁹ Elżbieta Tabakowska, *O przekładzie na przykładzie. Rozprawa tłumacza z „Europą” Normana Daviesa*, wstęp N. Davies, Wydawnictwo Znak, Kraków 2003; eadem, *Tłumacząc się z tłumaczenia*, przedm. A. Szulczyńska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009.